

Norbert Michta, Z mojej drogi do BCh

Publikujemy na łamach „Rocznika” wspomnienia gen. bryg. dr hab. Norberta Michty, działacza ruchu robotniczego, historyka, pracownika naukowego. Ten syn chłopski ziemi miechowskiej urodził się 28 lutego 1923 roku w Janowicach, zmarł zaś 22 września 2016 roku.

Na kilka lat przed śmiercią, w 2001 roku złożył na ręce dyrektora Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie swoje wspomnienia z lat młodości i walki zbrojnej z okupantem. W złożonym wówczas liście pisał: „Szanowny Panie Dyrektorze. Oddaję w Pana ręce maszynopis wspomnień dokumentalnych pt. »Z mojej drogi do BCh«, z prośbą o opublikowanie w formie jaką uzna Pan za stosowną. Wyrażam przy tym zgodę na ewentualne skrócenie tekstu, lub eliminowanie sformułowań, które wyraźnie kolidowały z oceną ówczesnych wydarzeń przez ZHRL. Z poważaniem Norbert Michta. Warszawa, 24 lipca 2001 r.”

Wspomnienia dr hab. Norberta Michty będziemy publikować w dwóch częściach. Pierwsza będzie obejmować wydarzenia do marca 1942 roku, tj. do wstąpienia bohatera w szeregi Batalionów Chłopskich. Druga część obejmować będzie dalsze losy Norberta Michty aż do zakończenia okupacji.

Wspomnienia generała a później naukowca i polityka lewicy rewolucyjnej są ciekawym przyczynkiem do poznania jego ewolucji ideowej, ale także poznania dziejów ziemi miechowskiej w dramatycznym okresie dziejowym dla wsi i ruchu ludowego z lat 1939–1945.

Janusz Gmitruk
Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego
ORCID: 0000-0002-2603-5565

Norbert Michta

Z mojej drogi do BCH

Spis treści

- Przedwojenne reminiscencje
- Tygodnie nadziei, rozczarowań i klęski w 1939 roku
- Polska Organizacja Patriotyczna Młody Orzeł
- Kompania Dozorowania im. gen. Sikorskiego
- Współdziałanie z Chłostą i BCH
- W oddziale wypadowym LSB „Burza”
- Mordy bratobójcze ciosem we wspólny front walki
- Krzepiące i gorzkie doświadczenia z okresu „Partyzanckiej Republiki Miechowsko-Pińczowskiej”
- Faszystowskie bestialstwa i kolejne mordy bratobójcze

Warszawa 2000–2001

Przedwojenne reminiscencje

Ojciec mój, grywając jako klarncista w zespole muzykantów wiejskich na weselach i zabawach publicznych, a oprócz tego zajmując się szewstwem, związał się z zapałem z ruchem niepodległościowym podczas I wojny światowej i wstąpił do „Polskiej Organizacji Wojskowej” przechodząc przeszkolenie wojskowe w oddziale „Piechur” na ziemi miechowskiej. W 1918 roku brał udział w rozbrajaniu posterunków austriackich w Nieszkowie, Miechowie i Słomnikach, a następnie zaciągnął się ochotniczo do wojska, wcielony do III batalionu 25 Pułku Piechoty. Brał udział w walkach pod Lwowem, w kwietniu i maju 1919 roku, jako fizylier. Do rezerwy został przeniesiony rok później w stopniu starszego szeregowego. Nagrodzony kilkunastu hektarami ziemi na rubieżach wschodnich, sprzedał je i powrócił do rodzinnej wsi, gdyż nie miał zamiłowania do rolnictwa. W 1922 roku zawarł związek małżeński z córką rolnika, który wcześniej pracował przez kilkanaście lat jako górnik w kopalni „Kazimierz” i zakupił 12 mórg ziemi w Janowicach z parcelacji majątku Tirpitz, wpłacając 600 rubli i zaciągając kredyt w banku rolnym. Moi rodzice wynajęli pomieszczenie w starym domu będącym wcześniej spichlerzem i przedzielili izbę na dwie części: w jednej otworzyli sklepik spożywczy, a drugą przeznaczyli na mieszkanie i warsztat szewski. Tam gnieździł się w pięćcio do 1932 roku. Ojciec nadal grywał na weselach i zabawach, gdyż postawili sobie z matką zadanie – składać pieniądze na zakup kawałka ziemi i wybudować własny dom. Wyczerpująca praca w trzech zawodach, ustawiczne borykanie się z trudnościami i nałogowe palenie papierosów, rujnowały zdrowie ojca,

Matka zaś bezgranicznie poświęciła się naszemu wychowaniu, nie śpiając całymi nocami i pracowała od rana do nocy.

Czasami, kiedy już położyliśmy się spać, ojciec wyciągał z kuferka jakieś broszury i czytał je w skupieniu. Kiedyś jednak zauważyłem jak w nocy czyścić rewolwer. Zastanawiałem się, po co jest on ojcu potrzebny i doszedłem do wniosku, żeby odstraszać złodziei. Nie było bowiem wówczas spokojnego tygodnia bez włamań i kradzieży. Nie pomagały grube kłódki, którymi zabezpieczano domy, chlewy i stodoły, bezsilni okazywali się stróże wiejscy. Złodzieje dostawali się do mieszkań przez strychy, robili podkopy pod budynki, wybijali szyby w oknach i demolowali drzwi. Kradli pierzyny, maszyny do szycia, odzież i bieliznę, obuwie, a nierzadko zabierali świnie i krowy, nie mówiąc już o drobiu. Policja była wobec nich prawie bezsilna: posterunki daleko oddalone od siebie, bez łączności telefonicznej, bez środków lokocji. Nocą zalegały egipskie ciemności, domy oświetlano lampami naftowymi, a o elektryczności na wsi wówczas się jeszcze nikomu nie śniło. Policjanci przyjeżdżali po włamaniach i rabunkach podwodami i z zasady tylko dla formalnego spisania protokołu.

Drugą plagą były awantury, bijatyki i nawet krwawe rozprawy na wiejskich weselach i zabawach. Nierzadko na noże sprężynowe i kosy, a także z użyciem broni palnej, najczęściej tzw. „użyneków”. Zatargi miały różne podłoże, również jak mówiono – polityczne, gdy jedna wieś występowała przeciw drugiej. Bywały w następstwie tych krwawych zająć i ofiary śmiertelne, nie mówiąc o rannych.

Nauczyciele różnie podchodzili do uczniów w szkołach wiejskich: jedni z sercem i perswazją, inni posługiwali się karami cielesnymi za najmniejsze nawet przewinienia, uciekając się czasem nawet do wymierzania zbiorowej chłosty uczniom i uczennicom. Jeden z księży używał do „pokładanki” kościanej laski. Kierownikiem powszechnej szkoły publicznej do której uczęszczałem, był „legionista” zajmujący się przede wszystkim organizowaniem „Strzelca”, udziałem w zjazdach i konferencjach. Uczył nas geografii, przyrody i rysunków. Lekcje były nudne bo zawsze czytał i niecierpliwie spoglądał co kilka minut na zegarek. Miał na utrzymaniu liczną rodzinę i mimo całej zapobiegliwości, popadał w długi. Również u rodziców kupował na kredyt.

Rodzina kierownika szkoły zamieszkiwała w obszernym, starym budynku, krytym strzechą. W jednym jego, mrocznym kącie wegetowało ubogie małżeństwo, bezdzietne. Z pomieszczenia przez nich zajmowanego uderzał nieznośny odór: wyprawiali skóry psów i królików, żywili się byle czym. Ale nie tylko oni żyli w takiej nędzy. Na wprost domu moich dziadków, w resztkach murów po starej cegielni, przypominających jaskinię, mieszkał z rodziną staruszek. Małe okna w glinianej przedniej ścianie nie mogły rozproszyć panującego wewnątrz mroku, a prymitywny piec – nie wysuszał wilgoci przenikającej ściany.

Pewnej nocy spaliła się stara szkoła. Mówiono, że w ten sposób chciano „wykurzyć” ze wsi kierownika, który pozostawał w ustawicznych zatargach ze starszą

młodzieżą, zorganizowaną w kołach „Wici” i „Siewie”, zresztą zwalczających się nawzajem. Po dawnej szkole zostały tylko popioły. Nie było odtąd świetlicy, gdzie przedtem odbywały się zabawy i przedstawienia. Zrobiło się smutno i pusto.

Rodzice dwoili się i troili, aby składać pieniądze i maksymalnie oszczędzali wydatki. U ojca stwierdzono gruźlicę płuc, ale nie chciał wydawać pieniędzy na lekarzy i leczył się ziołami. Byliśmy szczęśliwi, kiedy w 1932 roku przeprowadziliśmy się do swojego domu. Co prawda zbudowanego z cegły, ale na zaprawie glinianej i w połowie jeszcze w stanie surowym. Wówczas urodził się mój młodszy brat.

Od najmłodszych lat interesowałem się książkami, więc już w szkole powszechnej zaczytywałem się w nich i tworzyłem z nich biblioteczkę. Moje pierwsze lektury, to: *Cichy bohater*, *Robinson Crusoe*, *Król Przestrzeni* i *Serce*.

Wielkim wydarzeniem w moim życiu była wycieczka do Krakowa. Przewodnik oprowadzał nas po Wawelu, pokazywał grobowce sławnych Polaków, dzieła sztuki i literatury, opowiadał o przeszłości ziemi krakowskiej. Po tej podróży do sławnego grodu rozbudziły się u mnie jeszcze bardziej niż dotychczas, zainteresowania historią i lekturą o tej tematyce.

W długie, jesienne wieczory oraz wczesną wiosną, kiedy okropnie błotniste drogi, prawie uniemożliwiały komunikację i utrudniały kontakty między ludźmi, w niektórych, obszerniejszych domach zbierali się starsi i młodszy na „gadki”. Darli przy tym pierze, wycinali i kleili różne ozdoby do mieszkań oraz cacka choinkowe. Wieczorami zwłaszcza w soboty i niedziele przychodzili do naszego domu znajomi ojca, aby popolitykować. Byli to najczęściej ludowcy – Jan Chmielewski, Franciszek Jaros, Bronisław Choryń i Jan Kwiecień. O tym ostatnim mówiono, że jest komunistą. Czytano wówczas „Chłopski Sztandar” i „Zielony Sztandar”, rozprawiano szeroko o problemach politycznych i gospodarczych, złożeczone na rząd sanacyjny za nędzę i ucisk ludności chłopskiej. Przychodził też do nas od czasu do czasu Szymon Dudek ze Zbigała, przyjaciel ojca z okresu wspólnej walki o niepodległość Polski w szeregach P.O.W. Przed wojną był prezesem powiatowego zarządu Stronnictwa Ludowego. Chłonałem to, co czytano i o czym mówiono.

W naszej wsi, podobnie jak w innych, żyli bogatsi, biedniejsi i nędzarze, bez ziemi i własnego domu. W niejednym przypadku, dzieci nie chodziły zimą do szkoły, gdyż nie miały obuwia. Ubodzy pracowali u zamożniejszych jako parobcy, za grosze, żebrali od chaty do chaty, aby dostać kawałek chleba, a czasami jajko. Jakże często za całe wyżywienie musiała wystarczyć strawa z ziemniaków, placków na blasze i mleka, które dostawali z łaski od innych. Najbiedniejsi ze wsi chodzili po wsparcie do gminy, kłaniali się w pas panu wójtowi i sekretarzowi, aby dostać czasami bochenek zasiłkowego chleba. Co lepsi na zdrowiu wynajmowali się do pracy od wiosny do jesieni u bogatszych gospodarzy, poszukiwali sezonowego zatrudnienia w majątkach obszarniczych, na kolei, przy budowie i remoncie dróg.

Któregoś wieczora, gdy ojciec czuł się lepiej i rozmawiał ze mną chętniej niż zwykle, chociaż męczył go kaszel, wyjawilem mu swoje pragnienie:

– *Tatusiu! Chciałbym zostać oficerem.*

Ojciec uśmiechnął się i zamyślił jednocześnie, jakby moje słowa przypomniały mu być może i jego marzenia, ale szybko zmienił wyraz twarzy na poważny i rzekł:

– *To tylko pobożne życzenie, synku. Musiałbyś się w rodzinie jakiegoś bogatego pana urodzić. Gdyby był inny rząd, to być może spełniłyby się twoje zamiary, ale przy obecnym, nie ma nadziei. Najwyżej awansowałiby cię na podoficera. Chyba, że w niedalekiej przyszłości chłopci i robotnicy przejmą władzę w swoje ręce, ale może to nastąpić tylko przez rewolucję, panowie bowiem inaczej nie oddadzą władzy.*

Naszym sąsiadem był Jakub Siwiec, średniorolny gospodarz i pszczelarz zarazem. Żył z rodziną oszczędnie i umiał gospodarzyć. Czytał dużo i książek i gazet, a na strychu miał biblioteczkę, z której korzystali tylko najbardziej zaufani. Ojciec przyjaźnił się z panem Jakubem i jego synem Leonardem, a matka – z żoną sąsiada. Dzięki temu mogłem wypożyczać od niego różną literaturę, a nawet miałem możliwość szperać w całej biblioteczkę. Obok wydawnictw politycznych, jak mówił pan Jakub, „zakazanych” były też w niej podręczniki lekarskie i rolnicze. Najpierw przeczytałem za jego poradą – *Lukrecję Borgię* i *Cezary Borgię*, a z kolei – *Mnemonicę, czyli sztukę zdobycia doskonałej pamięci*. Autor tej ostatniej zalecał w tym celu m.in.: spożywanie dużej ilości jarzyn i picie źródlanej wody...

Pewnego dnia, pod koniec kwietnia 1935 roku, wracając ze szkoły w Ilkowicach zobaczyłem jadących bryczką policjantów z panem Jakubem pośrodku, z kajdankami na rękach. Co tchu pobiegłem do domu i zdyszany opowiedziałem ojcu, co widziałem.

– *Niech ich piorun trzaśnie!* – splunął ojciec na to. – *Znowu człowiekowi spokoju nie dają i zatruwają życie. Ale nie przejmuj się zbytnio. Siwiec to mądry i zacny człowiek, ale podejrzewają go o polityczną agitację przeciwko obecnemu rządowi. Za kilka dni będzie 1 Maja i po raz któryś zamykają go w areszcie, ale po tym robotniczym święcie – powróci do domu.*

Po tym zdarzeniu, jeszcze bardziej poważałem pana Jakuba. Poprosiłem ojca, aby mi opowiedział więcej o sąsiedzie. Przed wielu laty był on górnikiem na Śląsku, a podczas I wojny światowej kolportował tygodnik „Zaranie”. Po osiedleniu się w Janowicach władze uważały go za opozycjonistę i nękały w różny sposób, nie uciekając się jednakże do zamknięcia go w więzieniu. Może dlatego, że co tydzień regularnie chodził na nabożeństwa do kościoła w Słaboszowie i intonował pieśni religijne.

Policja nękała nie tylko pana Jakuba. Na przesłuchania wzywano aktywniejszych członków, „Wici”, np. Stanisława Milewskiego z sąsiednich Świąć i Stanisława Satra z Janowic, który głosił poglądy księdza Chuszno o potrzebie unieza-

leźnienia Kościoła Polskiego od Rzymu. Sater nie chodził do kościoła i nierzadko piętnowano [go] z ambony jako odszczepieńca i bezbożnika.

– *Za wcześniej synu nabijasz sobie głowę takimi problemami* – perswadował ojciec. – *Tacy ludzie jak Siwiec, Sater Kwiecień i inni zastanawiają się jak zmieniać świat na lepszy i zaradzić nędzy, upominają się o prawa dla biednych i pokrzywdzonych. Teraz powinienes się pilnie uczyć, aby dać sobie radę w życiu.*

W drugi dzień zielonych Świątek 1935 roku ojciec zabrał mnie na święto ludowe do Miechowa. Władze zabroniły uroczystości w mieście, ale chłopci znaleźli wyjście: urządzili wielki wiec kilka kilometrów dalej. Zapamiętałem jak przemawiał Szymon Dudek, szeroko wymachując rękami, a zgromadzeni nagradzali jego słowa hucznymi oklaskami. Po wiecu cały pochód, śpiewając *Gdy naród do boju...*, przemaszzerował przez miasto, a wielu chłopów wznosiło okrzyki przeciw rządowi, panom i dziedzicom, grożąc im pięściami. Żądano wyższych cen na produkty rolne, obniżenia podatków, walki z bezrobociem, dopuszczenia dzieci chłopskich do szkół średnich i wyższych. Wracaliśmy do domu furmanką przyozdobioną w białoczerwone i zielone chorągiewki.

Kiedy dotychczasowy kierownik szkoły wyjechał do Krakowa, jego miejsce zajął Władysław Okulus. Już na pierwszej lekcji opowiedział nam o sobie, co było dla nas zaskoczeniem, ale dzięki czemu pozyskał naszą sympatię i poważanie. Pochodził z Węgrowa, uczył w różnych stronach Polski, kochał wieś i starał się zawsze pomagać młodzieży chłopskiej. Zapytał, czy chcemy być jego przyjaciółmi, a gdy uzyskał na to chóralsna aprobatę, zagłębiał się w nasze troski, zmartwienia i pragnienia. Takiego szczerego nauczyciela nie mieliśmy w dotychczasowym przebiegu nauki.

11 listopada 1935 roku poszliśmy parami do kościoła w Słaboszowie. Okulus pozostał w budynku urzędu gminy i poczekał aż się skończy nabożeństwo. Potem dowiedzieliśmy się, że jest wolnomyślicielem. A więc dlatego, być może, przerzucano go do szkół z jednego końca Polski na drugi, w najgorsze „dziury...” Choć niektórzy w Ilkowicach i Słaboszowie usiłowali zrażać ludzi do niego, przedstawiając go jako „bezbożnika”, dla nas stawał się niezastąpionym wychowawcą i przyjacielem. I dla mnie i dla Stacha Oczkowicza z Maciejowa, i dla Ireny Janus ze Świąć i dla Franka Krawca z Ilkowic. Zastanawiał się razem z nami, zwłaszcza podczas lekcji języka polskiego, historii i geografii nad przyczynami nędzy na wsi i w mieście, jak zmieniać życie na lepsze. Właśnie Władysław Okulus wpłynął w zasadniczym stopniu na kształtowanie się mojej postawy społecznej i w dużej mierze na dalsze losy mojego życia.

Do VII klasy Publicznej Szkoły Powszechnej w Nieszkowie uczęszczałem w latach 1936/1937. Miejscowość ta oddalona jest o 6 km od mojej rodzinnej miejscowości i trasę tę przemierzałem codziennie pieszo, bez względu na warunki atmosferyczne, nie opuszczając ani jednego dnia zajęć. Dążyłem do uzyskania najwyższych ocen, gdyż nauczyciel Okulus, a z kolei kierownik szkoły w Nieszkowie

Teofil Stępniewski, działacz ruchu ludowego, przyrzekł rodzicom pomoc w uzyskaniu dla mnie stypendium gminnego, jeżeli zdam egzamin do Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Miechowie.

Gruźlica płuc okazała się nieubłagana i wiosną 1937 roku nasiliły się u ojca krwotoki z płuc. Pewnego popołudnia, w maju tegoż roku, ojciec poczuł się nieco lepiej i poprosił mnie, siostrę i dwóch braci, abyśmy usiedli obok łóżka, z którym się już nie rozstawał i prosił nas, abyśmy nigdy nie palili papierosów, ponieważ dla niego okazały się trucizną przy rozedmie płuc. Słowa te przyjąłem z głębokim bólem, upatrując w nich ostatnią wolę ojca, ale nie dopuszczałem myśli, że może wkrótce umrzeć.

10 czerwca 1937 roku ukończyłem 7 klasę Powszechnej Szkoły Publicznej, uzyskując świadectwo z ocenami bardzo dobrymi ze wszystkich przedmiotów. Dzień, w którym złożyłem podanie o przyjęcie do gimnazjum, 12 czerwca 1937 roku, zbiegł się z naszą tragedią rodzinną – śmiercią zaledwie 42-letniego ojca, bez którego nie wyobrażałem sobie dalszego życia. Prosił przed zgonem, aby pochować go w grobie przedwcześnie zmarłego brata. Pogrzeb ojca miał charakter religijny. Wierzył w Boga, ale miał krytyczny stosunek do postępowania niektórych księży i nie przywiązywał większej wagi do obrzędowości religijnej, ceniąc sobie wolność i niezależność myśli. Kilka dni po pogrzebie, mimo bolesnych przeżyć, zdałem pomyślnie egzamin wstępny i zostałem przyjęty do klasy pierwszej miechowskiego gimnazjum. W. Okulus pomagał mi i rodzinie podnosić się ze stanu głębokiego przygnębienia i zachęcał do pilnej nauki: „Ucz się jak najsumienniejszy i nie zapominaj nigdy, że z ludu pochodzisz”. Były to zarazem jakby słowa pożegnalne, gdyż niedługo potem przeniesiono go do pracy w innym miejscu.

W lipcu 1937 roku matka otrzymała powiadomienie, o odznaczeniu ojca pośmiertnie „Krzyżem Niepodległości”. Wkrótce też nadeszła przesyłka z dyplodem i odznaczeniem. Pod koniec tegoż miesiąca pomogłem matce napisać list do „Wysokiej Izby Skarbowej” w Kielcach, w którym informując, że podjęła starania o przyznanie stałej renty wdowiej po zmarłym mężu – bojowniku o wyzwolenie Polski spod zaborów, prosiła o przyznanie jednorazowej zapomogi, gdyż po śmierci jedyne go żywiciela, znalazła się z czworgiem dzieci w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Niedługo potem otrzymała matka powiadomienie z Kielc, że w sprawie zasiłku należy się zwrócić do zarządu gminy. Tam zapoznali się z pismem i rozłożyli ręce: „kasę mamy pustą”. Na otarcie łez przyznano nam raz na tydzień bochenek bezpłatnego chleba, po który trzeba było chodzić do Słaboszowa, oddalonego o 5 km drogi. Matka podjęła starania o rentę, ale zanim skompletowała 11 załączników i oświadczenia świadków, w tym oficerów z P.O.W., upłynęło kilka miesięcy. Nie miała już środków finansowych aby nadal prowadzić sklepik, więc ofiarowała braciom własną pracę na ich roli, aby zabezpieczyć nam przynajmniej wyżywienie. Ale i w tym wypadku przyszedł nam z pomocą nauczyciel, kierownik szkoły powszechnej w Ilkowicach, Stanisław Pater, również działacz ruchu ludo-

wego, podobnie jak Okulus i Stępniewski. Dzięki jego zabiegom i sołtysa Andrzeja Wachackiego, otworzono w miejscu poprzedniego sklepiku, Spółdzielnię Spożywców „Dobrobyt”, a matka została w niej sklepową.

Dwa lata nauki w gimnazjum, do czasu hitlerowskiego najazdu na Polskę, to okres bardzo trudny w moim życiu. Nie mogłem, jak większość uczniów zamieszkiwać na stacji, dojeżdżałem więc codziennie na lekcje koleją wąskotorową. Wstawałem o piątej rano, kładłem się spać o północy. Matka nadal poświęcała się bez reszty, aby nas wyżywić i przyodziać. Początkowo czułem się nieswojo w nowym środowisku. Większość uczącej się młodzieży pochodziła z zamożniejszych rodzin. Garstka biedniejszych uczniów – stypendystów, do której należałem i ja, zachowywała się nieśmiało i przez pewien czas jakby zamykała się w sobie. W miarę czasu zespoliłem się z grupą uczniów pochodzących ze wsi. Wśród uczennic i uczniów nie zaznaczyły się tak wyraźnie linie podziałów społecznych, majątkowych i zawodowych, jak wśród ich rodziców. Nie występowały też żadne objawy niechęci do grupki młodzieży narodowości żydowskiej, wywodzącej się z rodzin kupców, sklepikarzy i rzemieślników. Nie zauważyłem też, aby profesorem traktowali z przywilejami niektórych uczniów. Do nauczycieli cieszących się największym poważaniem należała pani Bronisława Terlecka, ucząca języka francuskiego. Była dla wszystkich jednakowo sprawiedliwa i życzliwa. Profesora łaciny baliśmy się jak ognia, gdyż był bardzo wymagający, ale jednocześnie obiektywny w ocenie wyników.

Jak inni w tym wieku, próbowałem pisać wiersze. Wtedy właśnie po raz pierwszy zetknąłem się z Władysławem Machejkiem, uczęszczającym już do czwartej klasy gimnazjum i kierującym uczniowskim kółkiem literackim. Dopingowany przez kolegów na lekcji języka polskiego, zaprezentowałem własny wiersz o bitwie pod Raclawicami 28 października 1938 roku, w dzień imienin patrona naszego gimnazjum Tadeusza Kościuszki. Prawdopodobnie wiadomość o tym dotarła do Władka. Zachęcony przezeń, próbowałem pióra, ale bardziej pociągała mnie proza. Rozkoszowałem się natomiast poezją Marii Konopnickiej.

Będąc stypendystą, otrzymywałem bezpłatnie na początku roku szkolnego komplet podręczników. Któregoś dnia, we wrześniu 1938 roku zostałem, ku mojemu zaskoczeniu, zaproszony do starosty powiatowego w Miechowie, pana Zaufale. Jeden z urzędników wprowadził mnie do pokoiku, do którego za chwilę wszedł syn starosty, Jurek, znany mi już wcześniej przy okazji jakiegoś spotkania w gimnazjum. Podano nam obiad, podczas którego rozmawialiśmy o osobliwościach ziemi miechowskiej. Mój rozmówca podkreślał osobiste zamiłowania do malarstwa pejzażowego i wędkowania. Pod koniec tych wynurzeń wszedł na kilka minut starosta, podał mi rękę i zachęcał do wytrwałości w nauce. Być może wiedział o pośmiertnym odznaczeniu ojca i staraniach matki o rentę.

Niestety, minął przeszło rok, a na wniosek matki nie było żadnej odpowiedzi. W tej sytuacji napisałem list od siebie do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

pana Ignacego Mościckiego, pod koniec 1938 roku. Jakież było moje zdziwienie, gdy otrzymałem wkrótce potem powiadomienie, że ojciec został odznaczony pośmiertnie nie „Krzyżem...”, a „Medalem Niepodległości”, za co przeproszono matkę. Decyzję tę odczytaliśmy jako okoliczność zmniejszającą szansę otrzymania renty.

Wynagrodzenie za pracę matki w spółdzielni zależało od wysokości utargu, a ten był niewielki przy panującej na wsi biedzie. Najwięcej kupowano chleba i słoniny, więc raz, dwa razy w tygodniu przywoziłem te produkty Miechowa. Niektórzy z uczniów uśmiechali się ironicznie widząc mnie dźwigającego na plecach worek naładowany pieczywem, ale inni nawet mi pomagali ukryć go pod ławkami przed oczami konduktora, gdyż wówczas musiałbym uiścić opłatę za przewóz bagażu. Nigdy nie wstydzilem się pracy fizycznej, więc kiedy tylko mogłem, wychodziłem z matką i rodzeństwem do różnych prac polowych u wujków, aby w zamian dostać od nich trochę mąki, kaszy, ziemniaków, a przede wszystkim paszę dla naszej krowy – żywicielki.

Często rozmyślałem dlaczego w życiu jest tak niesprawiedliwie? Jedni opływali we wszystko, a inni przymierali głodem. Nieraz po przyjeździe z gimnazjum, pod wpływem różnych przeżyć i spostrzeżeń, siedząc obok starej wierzyby nad stawem u sąsiada, stwierdzałem z goryczą w rozpamiętywaniach, jak źle urządzone jest świat, ile w nim podłości i fałszu, krzywd i pogardy. Dlaczego bogaci nie pomagają biednym, nie dzielą się z nimi tym, co społeczeństwo wytworzyło. Czy taka jest wola boska i przeznaczenie? Czy los każdej jednostki jest z góry przesądzony, już od kołyski, że ten będzie miał, czego zechce, a tamten zostanie żebrakiem? Dlaczego Pan Bóg nie wysłuchał naszych błagalnych modłów o przywrócenie zdrowia ojcu? A może tak jest, że jedni cierpią za drugich? Nie popadałem jednak całkowicie w zwątpienie o istnieniu Opatrzności Nadprzyrodzonej.

Tygodnie nadziei, rozczarowań i kłęski w 1939 roku

Wiosnę i lato 1939 roku znaczyły brzemienne wydarzenia, wskazujące coraz wyraźniej na niebezpieczeństwo wojny zawisłe nad Polską. Prawie codziennie, gdy powracałem z Miechowa, przychodzili do mnie znajomi, wypytując co myślą w mieście o groźbach hitlerowskich wobec Polski. Miałem o czym mówić, gdyż rościło się wówczas od zebrań, wieców i różnych uroczystości, organizowanych przede wszystkim przez Obóz Zjednoczenia Narodowego. Z pewnością siebie mówcy wykrzykiwali, że „nie oddamy nawet guzika od munduru”, że „jesteśmy silni, zwarci i gotowi” i odeprzemy każdą agresję przeciwko Polsce. A jeżeli Niemcy napadliby na nasz kraj, przyjdą nam z pomocą natychmiast sojusznicy – Francuzi i Anglicy, wysyłając z odsieczą na pola bitew tysiące samolotów z bombami. Przemawiający na wiecu w naszym gimnazjum rotmistrz wyrażał przekonanie, że polska kawaleria zdolna jest w ciągu kilku tygodni osiągnąć Berlin...

Ostanie dni sierpnia zapowiadały nieuchronność ataku armii niemieckich na Polskę. Wszędzie rozprawiano z niepokojem o tym, co może nastąpić. Dwadzieścia kilka naszych samolotów wojskowych przeleciało nad ziemią miechowską w stronę Krakowa, jakby dla dodania ducha społeczeństwu. Mimo krytyki rządów sanacyjnych, wielu żalów i pretensji, chłopci chcieli bronić ziemi ojczystej przed najazdem hitlerowskim.

Za kilka dni mam rozpocząć naukę w trzeciej klasie gimnazjum i próbuję powtórzyć ćwiczenia z łaciny. Niestety, nie mogę się skupić. Niektórzy rezerwiści otrzymali już karty mobilizacyjne. Oczekuję niecierpliwie od listonosza „Zielonego Sztandaru”, tymczasem zaś dostaję od kogoś „Wielkopolanina”. Gazeta uspokaja czytelników, że Niemcy, mimo pogroźek i żądań nie odważą się napaść na Polskę, a jeżeli to uczynią, stanie przeciwko nim jak jeden mąż, cały naród.

Przyszedł do mnie najbliższy kolega, Stach Oczkowicz z Maciejowa Nowego. Zawsze spokojny i opanowany, tym razem był wyraźnie zdenerwowany i podniecony. Jego kuzyn Józef Michalski, nauczyciel zatrudniony na Śląsku, przyjechał z wiadomością o koncentracji wojsk niemieckich nad naszą granicą państwową. Zastanawialiśmy się ze Stachem, czy w tej sytuacji nasze wojska nie powinny uprzedzić uderzeniem zaczepnym zamiarów wroga. Co prawda Niemcy mają więcej czołgów i samolotów, ale nasi żołnierze są odważniejsi. Nasze „Łosie” i „Jastrzębie” dadzą druzgocący odpór agresorowi. Hitler straszy, bo chce wyłudzić „korytarz”. Niech spróbuje! A poza tym przyszliby nam z natychmiastową pomocą Francuzi i Anglicy.

Mimo nawoływania do zachowania spokoju i przeciwdziałania objawom paniki niektórzy mieszkańcy zaczęli drążyć schrony w pobliskich zagajnikach, lub wewnątrz zabudowań, spieszyli się na gwałt z młócką zboża. Zaczęto masowo wykupywać sól, cukier, mydło.

29 sierpnia samoloty z biało-czerwonymi znakami przeleciały nad okolicą, a około godziny 14.00 setki ludzi zgromadziło się na stacji kolejowej w Janowicach, aby pożegnać rezerwistów wezwanych kartami mobilizacyjnymi do stawiania się w jednostkach wojskowych. Żony ze łzami w oczach obejmowały mężów, a dzieci wybuchały lamentem, kiedy pociąg nadjechał, a lokomotywa zawyła przeciągle. Wydawało się jakby wagony utonęły nagle w morzu ludzkim. Słowa pożegnania, życzeń i pozdrowień przeplatały się ze szlochem. Kiedy pociąg ruszył, rozległ się gwałtowny płacz, ale tylko na chwilę. Gdzieś od przodu, a potem z następnych wagonów rozległ się śpiew, który jakby zelektryzował żegnających: *Wojenko, wojenko cóżeś ty za pani....* Stałem pod wierzbą nad brzegiem rzeczki Kalinki i rozmyślałem. Słońce prażyło niemiłosiernie. Świat wydawał się jakiś złowrogi, kiedy zamilkły odgłosy znikającego w dali pociągu.

Dłużej w domu nie mogłem usiedzieć i następnego dnia, 30 sierpnia pojechałem do Miechowa, gdyż coraz więcej ludzi zwracało się do mnie po informacje na temat sytuacji. W mieście zastałem mieszkańców podenerwowanych i zatro-

skanych. Zatrzymałem się na rynku, gdzie obok głośnika zawieszzonego na słupie skupiało się kilkadziesiąt osób. Ktoś nawoływał przez radio do jedności narodu i ostrzegał faszystów przed zamiarem napaści na Polskę. Po każdym niemal zdaniu przemawiającego zrywała się burza oklasków. Najprawdopodobniej była to transmisja z jakiegoś wiecu, Naokoło rynku krążyli policjanci z paskami czapek pod brodą. Kilka razy pokazał się też na jednej i drugiej stronie ulicy szykownie umundurowany rotmistrz na koniu.

W budynkach gimnazjum nie było prawie nikogo, więc podążyłem na stację kolei szerokotorowej, dostrzegając z daleka olbrzymi napis na ścianie: „Nie oddamy Gdyni i Gdańska!”. Właśnie przejeżdżał w stronę Krakowa pociąg wojskowy. W wagonach pełno było żołnierzy, stłoczonych przy oknach. Ktoś powiewał w ich stronę chusteczką, dziękowali za to uśmiechami i pozdrawiali rękami. Ogarnęło mnie wzruszenie, kiedy zobaczyłem na platformach samochody i działa. A więc mamy czym bronić Ojczyzny przed najeźdźcą!

Pokrzepiony na duchu powróciłem na rynek miasta. Miałem jeszcze sporo czasu do odjazdu kolei wąskotorowej do Janowic, więc zaszedłem do sklepu Grunbaumów, gdzie można było kupić wszystkie niemal artykuły żywnościowe.

Sprzedawcy teraz jednak byli źli i zdenerwowani: wielu towarów brakowało i musieli co chwilę usprawiedliwiać się przed klientami. Rozkładali ręce, gdy im docinano. Jeden ze sklepowych, który mnie znał, odwołał mnie do kąta i zapytał, co słyszę. Powiedziałem co myślę: „Niemcy nas straszą, ale nie rozpoczną wojny, gdyż po naszej stronie jest Francja i Anglia, a każdy nasz żołnierz sprosta dziesięciu niemieckim”. Żyd pokręcił głową: „Młody jesteś i nie wszystko rozumiesz. Hitler jest mocny i nie daj Bóg, aby wszedł do Polski. Będzie palił i mordował. My o tym wiemy”.

Wyszedłem ze sklepu Grunbaumów z uczuciem jakby ktoś wylał na moją głowę kubek zimnej wody, ale oto nowe wydarzenie przykuło moją uwagę. Sportowy samolot zatoczył łuk nad miastem i zrzucił ulotki. Głosiły gotowość całego narodu do obrony granic państwa, do ostatniej kropli krwi i ostatniego tchu. Zebrałem ich garść, aby rozdać ludziom we wsi.

W domu czekał już na mnie J. Chmielewski, zawsze ciekawy nowych wiadomości, a kiedy przekazałem mu relację z tego co widziałem i słyszałem, stwierdził:

– *Masz rozparzoną głowę i widzisz w różowych kolorach. A ja ci powiem: panowie już Polskę przesrali. Teraz, kiedy nóż na gardle, to poklepują chłopą i robotnika.*

Zabolały mnie te słowa, ale nie wdałem się w dyskusję. Natomiast wieczorem przysiadło na skarpie, na wprost naszego domu, kilkunastu mieszkańców wioski. Dowodziłem żarliwie, że się Niemcom nie damy i dziwiłem się dlaczego nie wszyscy podzielają moje przekonanie. Poparł moje przekonanie faktycznie tylko Bronisław Czekaj. Który niedawno powrócił ze służby wojskowej na zachodniej

granicy. Opowiadał o wybudowanych tam bunkrach z żelaza i betonu, o zaporach z szyn kolejowych, głęboko umocowanych w ziemi, przez które nie sposób będzie przedostać się niemieckim czołgom. Do późnej nocy toczyła się dyskusja w tym gronie. Chmielewski zdecydowanie dowodził, że tylko Sowieci mogliby udzielić Polsce skutecznej pomocy w wojnie z Niemcami, dostarczając czołgów, ciężkich dział i samolotów, ale panowie polscy na to się nie zgodzą, gdyż obawiają się bolszewickiego ustroju.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września zasnąłem głęboko po przeżyciach minionego dnia, ale z głośnych rozmów matki z kimś na drodze, prawie jeszcze o świącie, wywnioskowałem, że nastąpiło coś niezwykłego. Zerwałem się więc na nogi i usłyszałem wycie samolotów, które w niskim locie nad wioską przeleciały w kierunku Kielc. Niestety, nie były to nasze maszyny, a po kilku minutach usłyszeliśmy ponury wybuch bomb gdzieś w oddali. Kilka osób stało pod jesionami i rozprawiało z przejęciem o rozpoczęciu wojny przez Niemcy przeciwko Polsce. Od natłoku myśli opanowała mnie jakaś bezradność i uczucie załamania wczorajszych nadziei. Nagle zadrżały szyby w oknach raz i drugi, i jakby drgnął dom w posadach. Wybiegłem na podwórze: za rzeką Nidzią, na płaskowzgórzu, opodal wsi Świącice, buchały języki płomieni, skłębione warkoczami dymów. Palily się stogi zboża od zrzucanych bomb.

Dzień był gorący, bez żadnej chmurki na niebie. Ziemia drżała od dalekich wybuchów, a z zachodu dochodziły głuche, przeciągłe zawrozenia samolotowych silników. W pierwszej chwili usłyszałem czyjś krzyk, aby się ukryć, gdyż nadlatują wrogie maszyny. Znalazłem się w jednej chwili wraz z innymi osobami pod parasolem rozłożystych konarów i gałęzi dwóch jakby przytulonych do siebie jesionów. Za chwilę, zza wzgórz, opasujących wieś od strony zachodniej, wynurzyły się ze straszliwym wyciem niemieckie samoloty. Leciały nisko, niemal ocierając się o czubki najwyższych drzew. Trzy, sześć, dziesięć, dwanaście... Ukuło mnie boleśnie w serce: wróg panuje w powietrzu. A gdzie nasze „Łosie” i „Jastrzębie”?

W nocy nie mogłem zasnąć. Przez okno, wychodzące na zachód dostrzegłem dalekie pożary. Co chwilę drgały szyby. Śląsk w prostej linii był oddalony od nas o niespełna 100 kilometrów.

Już pierwsze dni agresji hitlerowskiej na Polskę przyniosły bolesne rozczarowanie: niemieckie lotnictwo panowało w powietrzu, ostrzeliwujące zabudowania i szlaki komunikacyjne, siejąc panikę wśród ludności. Chociaż odgłosy kanonady artyleryjskiej i luny pożarów wskazywały, że żołnierz polski broni Ojczyzny, nie ulegało już wątpliwości – wojska najeźdźcy wdzierają się w głąb kraju.

Prawie wszystkie drogi zaczęły zapełniać się uchodźcami, w drugim, w trzecim i następnych dniach wojny. Furmankami, rowerami i pieszo kierowali się na wschód. Przykład jednych udzielał się drugim, więc zaczęli pakować manatki również urzędnicy władz powiatowych, a także policjanci i strażnicy więzienia. Nad Wisłą, jak mówiono, dowództwo naczelne organizuje wielką obronę i zapo-

rę przeciw dalszemu posuwaniu się kolumn niemieckich, wszyscy więc młodzi ludzie powinni opuszczać domy i zgłaszać się do jednostek wojskowych. Początkowo niektórzy chłopci obrzucali złośliwymi uwagami uciekających urzędników i „wszelkiego rodzaju śmietankę”, wkrótce jednak okazało się, że wędrują również na wschód robotnicy i chłopci, nierzadko z rodzinami i dobytkiem, więc smutek i niepewność zaczęły się udzielać wszystkim. Tym bardziej, kiedy ksiądz w Kalinie Wielkiej zamknął kościół i włączył się w falę uchodźców.

Straszliwy pomruk wojny, teraz narastający już ze wszystkich stron, potwierdził odwrót naszych wojsk. Nocą niebo krwawiło łunami już nie tylko na zachodzie, ale i na północy i na południu. Rozeszła się wiadomość o zajęciu Krakowa przez wojska hitlerowskie. Jeden z najbliższych przyjaciół namawiał mnie, abyśmy udali się nad Wisłę i w tym celu przygotował dla mnie rower, ale odmówiłem, postanawiając pozostać na miejscu i dzielić dalsze losy z mieszkańcami rodzinnej wsi. Nie wiadomo, co by mnie czekało, gdybym powędrował szlakiem uchodźców. Przyjaciel po dwóch dniach powrócił zrezygnowany i przybity na duchu: przed nimi byli już Niemcy.

Nocą z 5 na 6 września zajechali podwodami do wsi żołnierze polscy. Były to resztki oddziału piechoty, wyniszczonego w walkach pod Pszczyną. Utrudzeni i zmęczeni do kresu sił, legli koło stodół i innych zabudowań na sianie i słomie. Od wczesnego rana kręciłem się wśród nich, częstowałem ich papierosami i lemoniadą, a niektórzy przynosili im żywność. Nasze pytania zbywali półsłówkami, lub milczeniem. Z ich twarzy wyzierało przygnębienie. Niektórzy mieli zabandażowane głowy, inni ręce, a nawet całe twarze. Udało mi się wreszcie nawiązać rozmowę z młodym piechurkiem, który starannie czyścił ręczny karabin maszynowy.

– *Jak się dba o broń, to i ładnie wygląda* – rzekł jakby uprzedzając moje pytanie. – *A najważniejsze, że nigdy nie zawodzi. Ten grzechotnik jeszcze mi nie skapitulował, ażebyś ty wiedział, jak on siarczyście rzyga do Niemców! Klaniają mu się jak jakiemuś panu...*

– *To nie jest jeszcze z nami tak źle.* – wtrąciłem nieśmiało.

Mój rozmówca posmutniał po tych słowach i zamyślił się, a następnie obejrzał, czy ktoś nas nie podsłuchuje, nachylił się ku mnie i powiedział:

– *Widzę, żeś swój chłopak, więc nie będę ukrywał prawdy: źle z nami, źle... Niemcy mają dużo czołgów i samolotów, istne mrowie, a u nas co? Nawet amunicji brakuje. Z tysiąca ludzi tyłu nas zostało. Gdybyśmy mieli takie uzbrojenie i transport jak oni, to mucha nie siada. Nie poddamy się jednak, choćby przyszło nam zginąć. Jeden spróbował zdezerterować, leży związany na wozie. Jak chcesz to idź go zobaczyć. Ze strachu zaniemówił.*

Nagle naszą rozmowę przerwał przeciągły gwizdek, który poderwał wszystkich na nogi. Po zbiórce żołnierze na furmankach i pieszo udali się drogą w stronę Słaboszowa. Jak się później dowiedziałem, zaszli się w lesie za wsią Rzemiedzice.

Z każdym kolejnym dniem września pogłębiały się wśród ludzi – smutek i obawa o dalsze losy. W ciepłe wieczory przysiadali chłopcy koło domów i snuli najprzeróżniejsze domysły. Wypowiedzenie Niemcom wojny przez Francję i Anglię, nie zmieniło na korzyść oporu naszych wojsk. Teraz już i we wschodniej stronie niebo rozjaśniało się nocą od pożarów. Dochodziły wieści o rozstrzeliwaniu przez hitlerowców ludzi ze wsi i miast, o paleniu domostw i grabieniu dobytku mieszkańców przez okupanta. Pod wpływem tych pogłosek, kto mógł ukrywał żywność, odzież, bieliznę i obuwie. Niektórzy chłopcy rozmontowywali wozy, ukrywali w zagajnikach krowy i konie. Matka poleciła, abym przejrzał jeszcze raz wszystkie dokumenty po ojcu. Spaliliśmy cały stos gazet i różne broszury ze zjazdów Stronnictwa Ludowego, z przemówieniami Putka, Libermana, Malinowskiego, Kiernika i innych. W pierwszej chwili zapytałem matkę o broń ojca. Była tym wyraźnie zaskoczona, ale odpowiedziała spokojnie, że miał ją, aby bronić się przed złodziejami, ale teraz już jej w domu nie ma...

12 września przyszedł do mnie Stach Oczkowicz. Udaliśmy się drogą polną pod starą gruszę, dominującą na płaskowyżu, aby tam w samotności, z dala od ludzi porozmawiać. Dni były nadal pogodne i ciepłe, dawno już nie padał deszcz. Mieliśmy przed sobą widok na całą rozległą okolicę, która jakby się wyludniła i zamarła. Stach, opierając się na informacji nauczyciela Michalskiego, liczył na rozpoczęcie lada dzień wielkiej ofensywy wojsk francuskich i angielskich przeciw Niemcom, co może odmienić losy wojny w Polsce. Nasze wojska umacniają obronę na linii Wisły i otrzymały rozkaz zatrzymać Niemców.

Przyjąłem te słowa jak spragniony – kubek świeżej wody. Naszą rozmowę przerwał jednak łoskot i warkot silników od strony Śladowa. Zapyloną drogą jechali trzej żołnierze niemieccy, a za nimi w niewielkiej odległości kilka czołgów, wznoszących tumany gęstego pyłu. Wąwozem pobiegliśmy na skraj wsi, nazywanej „Maćkarnią” i ukryci za krzewami mogliśmy z bliższej odległości przyjrzeć się okupantom. Na motocyklach z przyczepami, w hełmach, z wielkimi okularami, prawie zakrywającymi twarze, z karabinami maszynowymi, jechali niemieccy zwiadowcy, a za nimi przewalały się cielska stalowych czołgów, by za chwilę zniknąć z pola widzenia, gdy wzięli kurs na Słaboszów. Wyszliśmy z ukrycia.

– *Pies im mordę liza!* *Gdybym tak miał granaty...* – powiedział Stach i splunął w stronę oddalających się wrogów.

Rozległa się seria z automatu, jedna, druga, trzecia. Najeżdźcy obwieszczali, że oni są teraz tutaj panami.

Podążaliśmy do domu w milczeniu, jakby nie było o czym mówić. Na przejściu przez tor kolei wąskotorowej niespodziewanie spotkaliśmy naszego kolegę Franka Krawca. Nie widzieliśmy się z nim prawie dwa lata.

– *To ty nie w zakonie?* – zdziwił się Stach.

– *Już rok będzie, jak stamtąd zwiąłem* – usłyszeliśmy w odpowiedzi.

Usiedliśmy nad brzegiem leniwie płynącej Kalinki i słuchaliśmy zwierzeń Fran-

ka. Nie zrezygnował z marzeń szkolnych, aby zostać księdzem misjonarzem i udać się w dalekie, egzotyczne kraje. Wstąpił więc do zakonu Karmelitów w Krakowie, gdzie przeżył głębokie rozczarowanie. W gmachu znajdowała się duża biblioteka, ale dostęp do niej mieli tylko klerycy, żeby jednak zostać jednym z nich trzeba było legitymować się przynajmniej małą maturą. Zniechęcony i rozczarowany, postanowił opuścić mury zakonne. Wstyd mu było wracać do rodzinnych Ilkowic, rozpoczął więc wędrówkę od Krakowa do Zakopanego.

Polska Organizacja Patriotyczna Młody Orzeł

Pod koniec października 1939 roku w rozmowie ze Stanisławem Oczkowiczem zrodziła się u nas myśl utworzenia antyhitlerowskiej organizacji patriotycznej, a 13 listopada podczas kolejnego spotkania omawialiśmy z nim jej wstępne założenia i kierunki działania. Ustaliliśmy też, kto będzie stanowił jej trzon założycielski:

W pierwszą niedzielę grudnia, już z udziałem Franciszka Krawca z Ilkowic i Witolda Łacha ze Zbigała snuliśmy plany zbudowania organizacji podziemnej, nie tylko w skali dwóch gmin – Nieszkowa i Książa Wielkiego, ale następnie w powiecie miechowskim, a może i w innych również. Stawialiśmy sobie za cel zdobywanie broni, wydawanie odezw i ulotek przeciwko okupantowi, a podtrzymujących wiarę w odzyskanie niepodległości przez Polskę. Na wniosek Franka postanowiliśmy nadać naszej organizacji konspiracyjnej, o charakterze młodzieżowym nazwę – Polska Organizacja Patriotyczna Młody Orzeł. Stach mający zamiłowanie i umiejętności techniczne wziął na siebie wykonanie pieczęci.

26 grudnia 1939 roku, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, w naszym domu, w pokoju z zasłoniętymi do połowy oknami, przy tłących się świeczkach, zebraliśmy się i zasiedli przy stole w następującym gronie: Stach, Franek, Witek, Edek Natkaniec z Kropidła, Mietek Szaleniec ze Świąć i ja. Stach omówił założenia organizacji, które opracowaliśmy obaj i po przyjęciu ich przez wszystkich, obok Krucyfiks położył pistolet. Stojąc, z palcami złożonymi na Krucyfiksie powtarzaliśmy za Stachem, wcześniej przygotowany tekst przysięgi w następującym brzmieniu:

„Przysięgam na imię Wszechmogącego Boga, na Imię Królowej Korony Polskiej, na swój Honor, na miłość ku Ojczyźnie i Rodzicom, że wstępując z własnej woli, za głosem serca do „Polskiej Organizacji Młody Orzeł”, wszystkich sił umysłowych i fizycznych użyję w celu wyzwolenia Ojczyzny z niewoli”.

W siedmiu punktach zobowiązaliśmy się, że pod karą śmierci nie zdradzimy tajemnicy organizacji, nie splamimy żadnym niegodziwym czynem jej sztandaru, nie ułękniemy się niczego na drodze do celu i dotąd nie spoczniemy w walce, dopóki nie ujrzymy Ojczyzny Wyzwolonej i Sprawiedliwej. Dokument przysięgi podpisaliśmy pseudonimami. Wchodziliśmy wówczas ze Stachem i Mietkiem w 17 rok życia, a Franek, Witek i Edek byli od nas o dwa lata starsi. Nad naszym

bezpieczeństwem czuwała matka na zewnątrz domu, wyprawiając wcześniej rodzeństwo do pobliskich krewnych. Komendantem wybraliśmy Stanisława Oczkowicza – „Sępa”, a mnie – „Wróblowi” przypadła rola jego zastępcy. Na pierwszym planie postawiliśmy zadania: zdobywać broń, przystąpić do wydawania ulotek i założyć kasę. Franek, urodzony plastyk, wziął na siebie wyrysowanie projektu sztandaru organizacji z napisem na przedniej stronie: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, na drugiej – z podobizną orła zrywającego się do lotu.

Jeszcze nigdy nie czuliśmy się tak bliscy sobie, jak wówczas. W skupieniu włożyliśmy dokument Przysięgi i Protokół założenia organizacji do butelki. Zalakowana spocznie w ziemi, w miejscu znanym tylko Stachowi i mnie. W ogrodzie, naprzeciw domu, w korzeniach rozłożystej leszczyny. Wtem pukanie do drzwi. To matka uprzedza o powrocie do domu rodzeństwa. Stach, zamiłowany harmonista bierze w ręce wysłużony instrument i za chwilę rozbrzmiewa w pokoju kolęda: *Wśród nocnej ciszy...*

Niemal od pierwszych tygodni okupacji hitlerowskiej nauczyciele szkół średnich przystąpili do organizowania tajnego nauczania. Część spośród nich, wykazując niemałą odwagę, inicjatywę i pomysłowość, podejmowała próby zalegalizowania na gruncie przedwojennych szkół gimnazjalnych, licealnych i handlowych, różnych form nauczania, stanowiących w istocie zakamuflowaną kontynuację programów szkoły średniej. Wysiłki te doprowadziły na przykład do czasowego uruchomienia tzw. „Kursów Doksztalających” w przedwojennym gimnazjum miechowskim. Niemiecki radca szkolny w Miechowie dr Falke na ogólnopowiatowym zebraniu nauczycieli wykluczył możliwość tworzenia szkół średnich, dopuszczając jedynie naukę w szkołach podstawowych i handlowych z wyeliminowaniem historii i geografii Polski.

8 stycznia 1940 roku jako uczniowie byłego gimnazjum im. T. Kościuszki w Miechowie zostaliśmy z Edwardem Natkańcem – „Wilczurem” przyjęci na wspomniane Kursy Doksztalające, on do IV, a ja do III klasy, ale po jakimś czasie zaczęto nas namawiać do „Szkoły Handlowej Wyższego Stopnia”, gdyż „ogólniak nie daje żadnego konkretnego zawodu...” Tak więc przenieśliśmy się do „handlówki”, po zdaniu niełatwych egzaminów z zakresu małej matury. Ja miałem trudności z niemieckim (w gimnazjum uczyłem się francuskiego), Edek borykał się początkowo ze stenografią. Zamieszkał w naszym domu, skąd dojeżdżaliśmy do Miechowa koleją wąskotorową. Razem szybciej odrabialiśmy opóźnienia w nauce. W ten sposób mogliśmy w znacznym stopniu maskować działalność naszej organizacji.

Łatwiej coś planować, trudniej realizować. Już na początku naszej działalności konspiracyjnej zetknęliśmy się z trudnościami chcąc wykonać zadania, jakie postawiliśmy przed sobą. Zamierzaliśmy wykraść maszynę do pisania z jakiegoś urzędu, ale po namyśle odeszliśmy od tego pomysłu, nie chcąc narażać pracowników na represje. Postanowiliśmy na razie wykonywać ulotki pismem odręcznym.

Wkrótce jednak przyszedł nam do głowy inny zamiar: wykorzystywać do tego celu ręczną drukarkę szkolną i powielać tekst na arkuszu hydrogenicznym. Największy kłopot mieliśmy z nabyciem tego artykułu. W końcu przypomniałem sobie dobrze zaopatrzonego w materiały piśmienne sklep Żyda Posłusznego w Miechowie, w którym kupowaliśmy towary z tej branży. Wybrałem się więc tam niebawem i właścicielowi sklepu dyskretnie przekazałem kartkę, o co mi chodzi. Przeczytawszy ją, zastanowił się chwilę, popatrzył na mnie i oznajmił:

– *Niestety nie mam*

Spotkał mnie, więc przykry zawód, zauważyłem jednak jakby pewne wahanie w odpowiedzi Posłusznego, więc ponowiłem prośbę:

– *Bardzo mi na tym zależy...*

Kupiec pomyślał jeszcze chwilę i już zdecydowanym gestem ręki wskazał mi pomieszczenie na zapleczu. Poszperał w stosach różnych materiałów i wydostał z nich starannie zapakowane rolki, a z innego miejsca – butelkę tuszu.

– *To wszystko, co mam. Wewnątrz jest podany sposób wykorzystania.*

Gdy zapytałem, ile mam zapłacić, usłyszałem:

– *Zapomniałem ceny. Człowiekowi teraz głowa puchnie od tego, co słyszy. Niech pan weźmie bez pieniędzy.*

W wieczór poprzedzający Święta Wielkanocne 1940 roku w Słaboszowie na parkanie obok kościoła i w różnych miejscach wzdłuż drogi do Księża Małego rozlepiiliśmy i rozrzućiliśmy dziesiątki pierwszych ulotek o następującym brzmieniu:

„Bracia Rodacy! Niedługo nadejdzie Dzień Wyzwolenia! Nie załamujcie się i wytrwajcie! Organizujcie się i przeszkadzajcie okupantowi na każdym kroku! Niech żyje Niepodległa Polska! Przecz z najeżdżcą hitlerowskim! Polska Organizacja Patriotyczna”.

W maju 1940 roku wydobyliśmy ze stawu karabin produkcji francuskiej, wrzucony tam we wrześniu 1939 roku przez jakiegoś strażnika. Po wielu zabiegach kosmetycznych okazał się sprawny. Nazwaliśmy go „Lebelem”. Stach natomiast wyczytał w „Gońcu Krakowskim”, w dziale drobnych ogłoszeń, że ktoś w podwawelskim grodzie, na ul. Siennej, ma do sprzedania maszynę do pisania starego typu. Nabyliśmy ją tam za uskładane niewielkie pieniądze i odtąd redagowaliśmy ze Stachem nie tylko kolejne ulotki, ale od czasu do czasu wydawaliśmy jedno lub dwustronnie „Wiadomości”, przede wszystkim o sytuacji na frontach wojennych w Danii, Norwegii, a następnie we Francji. W tym celu korzystaliśmy najczęściej z informacji niemieckiego „Oberkommando der Wehrmacht”, zamieszczanych w okupacyjnej prasie, komentując je po swojemu. Niestety, wydobyty przez nas z ziemi radioodbiornik, ukryty tam przez nauczyciela, Bolesława Lisa, był prawie całkowicie zniszczony i nie nadawał się do użytku, co nas mocno rozczarowało.

Latem 1940 roku przyjęliśmy do organizacji i zaprzysięgliśmy kilkunastu nowych członków, prawie wyłącznie spośród młodzieży, a wśród nich: Józefa Brodowicza z Adamy, brata Stacha, Józka Oczkowicza, Kazimierza Milewskiego i Wła-

dysława Słabego z Boczkowic, Tadeusza Millera z Działoszyc, Jana Ochęduszkę z Nieszkowa, a także Leona Kubiaka i Kazimierza Fiszera, wysiedlonych z rodzicami przez Niemców z województwa poznańskiego, którzy znaleźli kąta u gospodarzy w Janowicach. Leona, absolwenta gimnazjum, wybraliśmy sekretarzem naszej organizacji, a Kazimierza – skarbnikiem. Ten ostatni był synem oficera zawodowego, który poległ w walce z Niemcami w 1939 roku.

W ciągu kilku miesięcy, Stach, Leon, Kazik i ja opracowaliśmy statut Młodego Orła, którego koncepcję strukturalną zapożyczyliśmy w dużym stopniu z jakiegoś przedwojennego stowarzyszenia. Już wówczas ujawniły się między nami pewne różnice poglądów co do celu i charakteru organizacji. Stach uważał, że Młody Orzeł powinien być organizacją „czysto wojskową i apolityczną”, ja zaś opowiadałem się nie tylko za wojskowo-niepodległościowym, ale również i społecznym obliczem naszego konspiracyjnego związku. Stanowisko Stacha wówczas przeważało i główne zadania Młodego Orła zostały sprecyzowane w Statucie następująco: „przygotowanie wojskowe młodzieży; podtrzymywanie ducha patriotyzmu wśród ludności; prowadzenie obserwacji poczynań okupanta”. Za podstawową komórkę organizacyjną ustaliliśmy plutony (w skali gmin) i drużyny (na bazie wsi).

Pod koniec 1940 roku powrócił do Janowic z niewoli niemieckiej plutonowy Henryk Jaros, radiotechnik. Przed wojną służył w Junackim Hufcu Pracy w Grajewie. Był o kilka lat starszy od nas, ale przyjaźniliśmy się z nim od dawna. Powierzaliśmy mu niebawem rolę komendanta działu przysposobienia wojskowego. W 1939 roku brał udział w obronie twierdzy Modlin, która się poddała na warunkach honorowych. Przyrzekł nam szybko skonstruować radioodbiornik lampowy. Podczas jednego ze spotkań w ścisłym gronie pokazał nam mundur wojskowy, sztylet i aparat fotograficzny. Henryk wywodził się z ubogiej i licznej rodziny, ojciec jego grywał jako skrzypek na wiejskich weselach, a na przednówku żebrał.

Od maja 1941 roku posiedzenia zarządu organizacyjnego (z zasady w mieszkaniu u mnie, Stacha, a następnie i u Henryka) były protokołowane przez L. Kubiaka – „Lwa”. W „Dzienniku Pracy” 22 czerwca 1941 roku zapisał on w tym zeszycie: „Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej wywołał wielkie wrażenie na członkach zarządu, a także całej ludności. W konflikcie tym wszyscy trzeźwo myślący widzą niechybną klęskę naszego wroga. Część ludności przyjaźnie odnosi się do Rosji, wszyscy zaś wrogo do Niemiec. Nasza organizacja za najważniejszego wroga uważa Niemcy, do Rosji natomiast ustosunkowana jest neutralnie ale przychylnie”.

Organizacja postanowiła wydawać odezwy i gazetki z wiadomościami z frontu wschodniego. Od czasu, kiedy Henryk – „Wilson”, nawiązał kontakt z jednym z organizatorów Związku Walki Zbrojnej w Słaboszowie, Bronisławem Gołą – „Szafranem”, korzystaliśmy również z informacji wydawanego przez tę organizację lokalnego pisemka „Znak”.

W odezwie z 24 sierpnia 1941 r. wzywaliśmy rolników do nie odstawiania kontyngentów i nie kupowania prasy okupacyjnej. Apelowaliśmy też o zwalczanie

pijaństwa, rujnującego zdrowie i przynoszącego wrogowi duże korzyści. W ulotce z 31 sierpnia kategorycznie ostrzegaliśmy przed wstępowaniem Polaków do służby policyjnej tworzonej przez władze niemieckie, a dla tych, którzy dadzą się schwytać na przynętę hitlerowskiej propagandy „nie będzie miejsca w odzyskanej Ojczyźnie”.

Do końca 1941 roku powstały drużyny Polskiej Organizacji Patriotycznej w 15 wsiach oraz 3 miastach: Działoszycach, Jędrzejowie i Miechowie, obejmując około 250 osób, w tym ponad 20 dziewcząt. One to właśnie po wielu tygodniach żmudnej pracy wyhaftowały kolorowa muliną na biało-czerwonym suknie, według projektu Franka – „Cygana”, sztandar naszej organizacji. Członkowie zarządu organizacji złożyli dodatkowe ślubowanie na wierność sztandarowi.

Plutonowy H. Jaros opracował instrukcję wyszkolenia wojskowego, obejmującą głównie naukę o broni i elementarne zasady taktyki pojedynczego strzelca. Aby maskować nasze zbiórki w zagajnikach, podążaliśmy tam z muzyką i śpiewem, zwłaszcza w niedziele, pod pozorem wycieczek i rozrywki.

Kłęska Francji i słabość Anglii w latach 1940–1941 przekreślały nadzieje na szybkie wyzwolenie Polski spod okupacji hitlerowskiej. Front wschodni również wykazał przewagę militarną Niemiec w pierwszych miesiącach wojny z Rosją. Mimo tych rozczarowań wierzyliśmy niezachwianie w odzyskanie niepodległości. Kiedy i w jaki sposób to nastąpi, nie łatwo było przewidzieć. Nieraz dyskutowaliśmy w ścisłym i szerszym gronie, jak powinna ustrojowo wyglądać przyszła Polska i kto ma w niej sprawować władzę. Marzyliśmy o takiej Ojczyźnie, w której nie będzie panowania obszarników i fabrykantów, zwłaszcza obcych, a naród będzie sam decydował o sobie. Co do tego byliśmy w kierownictwie organizacji jednomyślni. Niektórzy uważali jednak, że nie należy roztrząsać i przesądzać ustroju politycznego i gospodarczego w przyszłej Polsce teraz, gdy pierwszym i najważniejszym zadaniem jest walka o odzyskanie niepodległości, jedność narodu, wszystkich patriotów. Z tych względów armia powinna mieć oblicze apolityczne, a więc i organizacje konspiracyjne o charakterze wojskowo-niepodległościowym. Dopiero po wyzwoleniu naród zadecyduje, kto ma rządzić w państwie. A ponieważ zdecydowaną większość społeczeństwa stanowią chłopci i robotnicy, oni dojdą do władzy przez demokratyczne wybory do Sejmu i Senatu.

Moje stanowisko popierane przez Henryka było następujące: „przyszła Polska nie może być sanacyjna, niesprawiedliwa, krzywdząca miliony ludzi na wsi i w mieście; rządy winni przejąć łączący się w sojusz chłopci i robotnicy, na czele z postępową i demokratyczną inteligencją; w kraju muszą być przeprowadzone głębokie reformy, zwłaszcza reforma rolna, wobec głodu ziemi na wsi; walka z okupantem winna się więc splotać z programem przebudowy ustroju społecznego”. W drugiej połowie 1941 roku gorąco i jednoznacznie popieraliśmy z „Wilsonem” politykę premiera Rządu Emigracyjnego gen. Władysława Sikorskiego. Zwłaszcza po podpisaniu przezeń umowy wojskowej ze Związkiem Radzieckim

o wspólnej walce z najeźdźcą i okupantem niemieckim w ramach koalicji antyhitlerowskiej. Gen. Sikorski był dla nas nie tylko najwyższym dowódcą wojskowym, ale i zwolennikiem przeprowadzenia reform demokratycznych w przyszłej Polsce, przeciwstawnym dążeniom obozu sanacyjnego. Ponieważ do moich zadań w organizacji należało prowadzenie propagandy, podjąłem próbę wypracowania jej założeń politycznych. Materiał ten nazwałem „Instrukcją Polityczną”. Pisałem w niej o ciężkim położeniu chłopów i robotników w Polsce przedwrzesniowej, o odpowiedzialności sanacji, kapitalistów i obszarników za słabość i klęskę armii polskiej w wojnie z Niemcami i usiłowałem nakreślić obraz Polski po odzyskaniu niepodległości, kiedy władzę obejmą chłopimi robotnicy. Więcej w tych założeniach było pragnień i marzeń niż konkretnego programu. Tak np. uważałem wówczas, że cała gospodarka winna być zorganizowana na zasadach spółdzielczej samorządności. Pomysły te kształtowały się u mnie pod wpływem lektury kilku książek wydanych przez Związek Spółdzielni Spożywców „Społem”.

Jesienią i zimą 1940 roku coraz uciążliwiej było nam z Edwardem Natkańcem dojeżdżać do szkoły handlowej wyższego stopnia w Miechowie, ponieważ „ciuchcia” kursowała fatalnie, żandarmi niemal codziennie rewidowali pasażerów i urządzali łapanki młodzieży do pracy niewolniczej w Rzeszy. Nieoczekiwanie zaistniała dla nas pomyślniejsza szansa kontynuowania nauki. Po wielu zabiegach ze strony nauczycieli, niemiecki radca szkolny w Miechowie, dr Falke wyraził zgodę na otwarcie z dniem 1 września 1940 roku dwuletniej Szkoły Administracyjno-Handlowej (Statliche Handelsfachschnle) w Działoszycach, dla uczniów klas przedmaturalnych i absolwentów szkoły handlowej. Schullrat nie wszystko czytał i niezbyt skrupulatnie przestrzegał zarządzenia władz zwierzchnich (Szkoły handlowe wyższego stopnia mogły być otwarte tylko w Warszawie, Krakowie i Radomiu).

Dyrektor wspomnianej wyższej szkoły, Grzegorz Matczyszyn, przyjął nas na rozmowę życzliwie i po złożeniu podań oraz dostarczeniu świadectw z byłego gimnazjum i szkoły handlowej w Miechowie, rozpoczęliśmy naukę 11 lutego, a więc prawie z tygodniowym opóźnieniem w stosunku do 16 uczniów i uczennic. Prawie wszyscy uczyli się przedtem do gimnazjum w Miechowie, Pińczowie i Jędrzejowie. Mój brat i siostra uczyli się już wówczas w tej szkole handlowej. Również spora grupa młodzieży należącej do naszej organizacji konspiracyjnej, ze Stanisławem Oczkowiczem włącznie.

11 marca 1941 wizytował naszą klasę Herr Schullart dr Falke i całą godzinę poświęcił na wykład o Niemcach, „narodzie kulturalnym i pobożnym, który dąży do wprowadzenia w Europie sprawiedliwego ładu, opartego na pracy i wierze chrześcijańskiej”. Zapowiedział też, że po ukończeniu szkoły, będziemy kierowani do różnych zakładów w Niemczech, gdzie będzie nam dobrze... To samo niemal powtórzył na spotkaniu z uczniami w szkole handlowej. Słowa te wywołały ogólne podniecenie i obawy, ale nauczyciele dali nam do zrozumienia, żeby się tym nie przejmować. Najważniejsze – zdobyć jak najwięcej wiedzy.

Na skutek zaistniałych kontrowersji, zwłaszcza o charakterze politycznym, działalność szkoleniowa i propagandowa w Młodym Orle zaczęła kuleć. Próbowaliśmy przezwyciężyć ten stan rzeczy na wrześniowym zebraniu zarządu w domu Stacha w 1941 roku. Hordy hitlerowskie parły wówczas ku Moskwie, ale mimo sukcesów wojsk niemieckich na wschodzie stawało się już oczywiste, że napotykały one na coraz większy opór armii radzieckiej i zaplanowany „Blitzkrieg” nie uda się. Wiadomość o pakcie zawartym między Anglią, Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim oraz porozumienie między Rządem Emigracyjnym w Londynie i rządem ZSRR, została przyjęta na naszym zebraniu z dużym zadowoleniem. Spodziewaliśmy się teraz szybkiego, wspólnego działania aliantów przeciwko Niemcom i przypiecztowania klęski armii hitlerowskiej.

Kompania Dozorowania im. Gen. Sikorskiego

Późną jesienią 1941 roku, w Polskiej Organizacji Patriotycznej Młody Orzeł, po dwuletnim istnieniu, dokonał się jednak rozłam. Większość członków pozostała w dotychczasowej strukturze na czele z komendantem S. Oczkowiczem – „Sępem”, natomiast H. Jaros, K. Fiszer, F. Krawiec, ja i kilku innych członków dotychczasowego Młodego Orła, podjęliśmy decyzję o utworzeniu nowej organizacji konspiracyjnej pod nazwą Kompania Dozorowania im. gen. Sikorskiego. Komendantem jej wybraliśmy Henryka – „Wilsona”, Kazik został komendantem działu wywiadowczego, a ja działu propagandy, posługując się odtąd nowym pseudonimem – „Traugutt”. Sprecyzowaliśmy cele polityczne nowej organizacji: „będziemy walczyli o Polskę niepodległą, w której władzę przejmą chłopci, robotnicy i postępową inteligencja. Wysiłek Polaków na rzecz odzyskania wolności, powinien być wyraźniej skoordynowany z walką armii radzieckiej przeciwko Niemcom”.

Jesienią i zimą 1941 roku oraz wczesną wiosną 1942 roku Kompania Dozorowania im. gen. Sikorskiego liczyła około 80 członków. Skupiali się oni w 4 drużynach (trzy męskie i jedna żeńska), utworzonych w następujących wsiach: Janowice, Ilkowice, Zbigały, Śladow i Góry Miechowskie. Z wyjątkiem jednego, wszyscy dowódcy drużyn mieli za sobą odbytą przed wojną służbę wojskową. Stała się więc nasza nowa organizacja bardziej dojrzała wiekowo i lepiej przygotowana wojskowo, niż Młody Orzeł. Jej członkowie składali „Przyrzeczenie żołnierskie” zawierające następujące zobowiązanie: „ślubuję i przyrzekam wierność prawdziwej idei chłopsko-robotniczej”. Przyrzeczenie „Żołnierskiej Drużyny Sanitarnej”, zawierało m.in. następujące słowa: „Braci, chłopów i robotników w ich walce ideowej wspomagaj i wiernie przy nich stać”.

W ten sposób nowopowstały związek konspiracyjny, oparty na strukturze wojskowej, równocześnie wyraźnie podkreślał jego charakter polityczny. Dawały temu jeszcze dobitniejszy wyraz opracowywane przeze mnie, z podpisem „Syn wsi” i kolportowane w organizacji „materiały propagandowe”. Tak np. pierwszy

z nich, z nagłówkiem – „Członkowie!” zawierał m in. następującą treść: „Z ramienia młodzieżowej chłopsko-robotniczej organizacji apelujemy do Was: nadchodzi czas, że wszyscy Polacy muszą stanąć w karnych i zjednoczonych szeregach do obrony naszych granic, do walki o wolność i byt. Największy ciężar tych walk przypadnie nam – chłopom, wziąć na swe barki, bo my stanowimy większość narodu. W odpowiedniej chwili, po odzyskaniu niepodległości, wywalczymy Polskę Ludową, sprawiedliwą dla wszystkich. Nie czas wahać się także teraz, młodzieży robotniczo-chłopska! Musimy zjednoczyć się do walki o wyzwolenie naszej Ojczyzny z niewoli, a równocześnie do powstania Polski Ludowej”.

W „Apelu do młodzieży chłopskiej” wzywaliśmy, by wstępowała do organizacji stawiających sobie za cel – odzyskanie niepodległości i uczynienia z Polski kraju sprawiedliwego dla wszystkich obywateli. W końcowej części tego apelu wyraziliśmy stanowisko „KD i GS”: „W Polsce będzie rządził Rząd Ludowy z generałem Sikorskim na czele”.

7 lutego 1942 roku zdawaliśmy egzaminy z zakresu nauki Szkoły Handlowej Wyższego Stopnia przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, powołaną przez Szefa Dystryktu Krakowskiego, Wydział Oświaty i Nauki w Krakowie pismem z 2 stycznia 1942 roku w składzie: przewodniczący dr Falke, członkowie: ksiądz Buczak, dr Andrzej Pierzchała, inż. Władysław Witkowski, J. Jasiński, mgr M. Janczur, Fr. Żelichowski, K. Dubiel i Janina Bahr. Najlepsze oceny otrzymałem z przedmiotów: organizacja i technika handlu, prawoznawstwo, ekonomia społeczna, reklama i stenografia, biurowość i korespondencja. Słabiej wypadł mi egzamin z: księgowości, arytmetyki handlowej i towaroznawstwa.

W celu uniknięcia wyjazdu do Niemiec, założyciel i prezes Spółdzielni Spożywców „Dobrobyt” w Janowicach, nauczyciel Stanisław Pater, zarejestrował mnie w miechowskim arbeitsamcie jako sklepowego w miejsce mojej matki. Wiedziałem, że S. Pater należy do podziemnego ruchu ludowego w gminie Nieszków i zajmuje się organizowaniem tajnego nauczania. Nie uszła jego uwadze i nasza działalność konspiracyjna, na razie jednak nie nawiązywaliśmy bezpośredniej współpracy.